

Wpowodzi głosów oceniających ostatnie wydarzenia polityczne w Polsce bardzo ważne wydają się opinie socjologów. Zwłaszcza tych, którzy starali się badać nastroje społeczne przed wyborami – nastawienie „zwykłych ludzi”. W wywiadzie udzielonym „Życiu Warszawy” prof. Hanna Świda-Zięba („Oszukani i obrażeni”, 7 X 1993) zwraca uwagę na kilka przyczyn klęski polityków dawnego obozu Solidarności. „Okazało się, że język oraz kategorie, jakimi politycy posługują się w kontakcie ze społeczeństwem, są nie przystające do treści świadomości tego społeczeństwa. Istotne jej cechy i elementy są w publicznych wystąpieniach polityków zupełnie lekceważone. Jednym słowem, ludzie władzy nie orientują się w sposobie myślenia zwykłych ludzi...”

Co więcej

nikt nie próbował wytłumaczyć

tym „zwykłym ludziom”, co się stanie po upadku systemu komunistycznego i o co właściwie chodzi: „...nie pokazano społeczeństwu wyraźnie rozgraniczenia pomiędzy komunizmem jako totalitaryzmem z całym jego złem moralnym, a komunizmem – systemem ekonomicznym, pewną próbą regulacji stosunków gospodarczych, która zwyczajnie nie powiodła się. Należało wyraźnie powiedzieć, że system zbankrutował i że to przykre – jak każde bankructwo, powodujące utratę wielu praw socjalnych i obniżenie standardu życia. I wyjaśnić, że gdyby realny socjalizm trwał nadal, społeczeństwo nie miałoby nawet tego, co ma dzisiaj”.

Profesor o. Bocheński, w artykule opublikowanym w „Kulturze” paryskiej („Co to znaczy być Polakiem?”, nr 4/1993), zwrócił uwagę na niezwykle ważne rozróżnienie. Świadomość narodowa Polaków (i nie tylko Polaków) kształtuje się na dwóch poziomach: jako podstawowa i pełna. Tę pierwszą, podstawową świadomość, posiadają ludzie niewykształceni – prości. Ogranicza się ona do poczucia wspólnoty języka, miejsca na ziemi i obyczajów. „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy...” – słowa „Roty” odwołują się wyraźnie do świadomości podstawowej. Pełną świadomość narodową posiadają ludzie wykształceni – inteligencja, elity. Ta pełna świadomość wzbogacona jest wiedzą historyczną, społeczną, polityczną itd. Biorąc to rozróżnienie pod uwagę, można zakładać, że większa część społeczeństwa – ta niewykształcona – obojętnie, a w ostatnim okresie przed wyborami zapewne wrogo, słuchała języka polityków odwołujących się z reguły do pełnej świadomości narodowej Polaków. Ogromna liczba pojęć i słów była niezrozumiała dla „zwykłych ludzi” żyjących na wsi i w małych miastach – ludzie borykających się z coraz trudniejszymi problemami dnia codziennego. Powoływanie się na uczucia patriotyczne, odmieniane we wszystkich przypadkach słowa „Polska”, „ojczyzna”, „komunizm” – trafiały w próżnię. Abstrakcyjny język mógł budzić tylko sprzeciw i niechęć.

Myślę, że

niechęć „zwykłych ludzi”

do polityków wywodzących się z Solidarności narastała stopniowo. Na początku była „wojna na górze”. Jak wynika

z badań socjologicznych, większość „zwykłych ludzi” w Polsce całego sporu i przyczyn rozpadu Solidarności nie rozumiała i nie akceptowała od początku. „Ludzie traktują te wzajemne pretensje i oskarżenia jak rodzinną awanturę. (...) Ale ta awantura kompromituje wszystkich członków rodziny. W świadomości społecznej zarzuty kumulują się i pozostają, pograżając zarówno ich autorów, jak i adresatów. Ci drudzy zostają zdemaskowani, ale ci pierwsi wcale nie zaczynają uchodzić za przyzwoitych, bo zdradzają kolegów i rozbijają pożądaną jedność.” (prof. Hanna Świda-Zięba).

Przystępując do „wojny na górze” przed kilku laty, a następnie wojując ciekawie między sobą, obrzucając się inwektywami i wytaczając najcięższe oskarżenia, niedawni koledzy-działacze z obozu Solidarności nie wzięli pod uwagę skutków: ogół ludzi w Polsce oceniał ten fakt bardzo źle – jako kompromitujący i godny potępienia. Po drugie: dawny obóz komunistyczny konsolidował się w tym czasie, zwiększał wpływy i „odzyskiwał teren”. Czas pracował na korzyść byłych komunistów.

KAZIMIERZ ORŁOŚ

30 PAŹDZIERNIKA 1993 Zamazanie granic między PRL-em a wolną Polską, erozja haseł solidarności i brak wrażliwości na głos „zwykłych ludzi” uitorowały postkomunistom drogę do władzy.

Co zostało z naszej solidarności

Myślę, że „wojna na górze” przyczyniła się również do zamazania granic między PRL-em a wolną Polską. Jest, oczywiście, bardzo dużo przyczyn tego „wielkiego rozmazania”, ale właśnie „wojnę na górze” skłonny jestem uznać za pierwszy krok – kamyk, który spowodował lawinę. To wtedy okazało się, że ludzie Solidarności są tak samo żądni władzy, profitów z tym związanych, tak samo zamieszani w afery gospodarcze, których wyjaśnienie okazywało się najczęściej niemożliwe. Legenda Solidarności, ethos Solidarności, wszystkie szczytne hasła – ulegały stopniowo erozji.

Do „wielkiego rozmazania” – a co za tym idzie dewaluacji wartości, o które walczyła Solidarność – przyczyniła się, oczywiście,

„gruba kreska”.

Ludzie lewego skrzydła dawnej opozycji solidarnościowej (przyjmuję ten nieprecyzyjny i mylący podział na „lewicę” i „prawicę” Solidarności jako – mimo wszystko – powszechnie stosowany), jak się zdaje, nie pojmowali od początku, ja-

kim zagrożeniem dla Polski jest pozostawienie tej właśnie kwestii – oceny komunizmu – nie rozstrzygniętej. Do czego może prowadzić przekonanie, że w gruncie rzeczy nic takiego złego się nie stało w ciągu minionych 45 lat. I że nikt nie jest za to odpowiedzialny.

A przecież słowa zawarte w preambule ustawy czeskiego parlamentu z lipca 1993 na temat Komunistycznej Partii Czechosłowacji można powtórzyć w naszym kraju – te słowa nie powinny nikogo dziwić. Powtórzmy je zatem wyraźnie: „Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, jej kierownictwo i członkowie są odpowiedzialni za sposób rządzenia w naszym kraju w latach 1944-1989, a zwłaszcza za programowe niszczenie tradycyjnych wartości cywilizacji europejskiej, za świadome łamanie praw i wolności ludzkich, za moralny i gospodarczy upadek kraju, któremu towarzyszyły zbrodnie sądowe i terror wymierzony w ludzi o odmiennych poglądach...”. Czy ktokolwiek może za kwestionować prawdziwość tych słów? To raczej brak podobnej ustawy, nigdy nie uchwalonej przez Sejm polski, prowadził do zamazania prawdy i nieporozumień

tak zwany obóz niepodległościowy.

Jak wiadomo, pierwszą cnotą polityków jest umiejętność przewidywania. Otóż politycy ugrupowań „niepodległościowych”, jak się zdaje, zupełnie nie przewidzieli co będzie, jeśli całą swoją energię skierują wyłącznie na walkę z różnymi ludźmi byłej Solidarności, bagatelizując jednocześnie rosnące znaczenie i wpływy komunistów. Ten marsz ku klęsce – bo przecież klęską trzeba nazwać pozostanie wszystkich ugrupowań „niepodległościowych” (z wyjątkiem KPN) poza Sejmem – zaczął się z chwilą wywołania „wojny na górze”. Sądzę, że „zwykli ludzie” tak samo niechętnie przyjmowali ataki na Lecha Wałęsę, a potem nieszczęsną sprawę teczek. Agresja, napastliwość, zbytnia pewność siebie budzą zawsze niechęć obserwatorów – niezależnie od tego, po czyjej stronie jest racja.

Politycy obozu „niepodległościowego” okazali się jeszcze raz mało przewidujący – w okresie poprzedzającym wybory. Jak się zdaje – głosując za wotum nieufności dla rządu Hanny Suchockiej – nie brali pod uwagę możliwości rozwiązania Sejmu, a później nie przewidzieli, czym grozi pójście do wyborów osobno. Dziś pozostało tylko policzyć, ile głosów uległo rozproszaniu, dodać te głosy oraz przeliczyć na krzesła w parlamencie.

Politycy, jak sądzę, powinni przede wszystkim brać pod uwagę warunki, w jakich przyszło im działać. Stale szukać możliwych optymalnych rozwiązań. To, że w obecnym Sejmie nie ma silnej grupy posłów, którzy odwołują się do tradycji niepodległościowych, okazać się może bardzo niebezpieczne. Zwłaszcza polityka wschodnia i stosunki z Rosją wymagają obecności ludzi nie splamionych jakimkolwiek serwilizmem. Kto jednak ponosi winę za ich nieobecność?

Po wyborach znów dominują pretensje do lewicy. Uważam, że tym razem lewica nie odegrała destruktywnej roli. Na swoją totalną klęskę politycy ugrupowań „niepodległościowych” zapracowali sami.

Dziś widać dobrze skutki wszystkich błędów. Dlaczego na przykład nikt z posłów-prawników, opracowujących projekt ordynacji wyborczej w komisjach rozwiązane go Sejmu, nie przewidział, że o mandaty posłów i senatorów mogą ubiegać się ludzie objęci postępowaniami sądowymi, zamieszani w afery gospodarcze i że trzeba temu zapobiec? Jak to możliwe, aby ktokolwiek pozbawiony immunitetu przez Sejm poprzedni, ponownie zasiadał w nowym Sejmie, jakby nic się nie stało – pewny, że tym razem nikt mu tego immunitetu nie odbierze?

Oczywiście banalne jest stwierdzenie, że posłowie i senatorowie tworzą gremium obdarzone najwyższym zaufaniem społecznym. Ordynacja, która umożliwia wejście do tego gremium ludziom o wątpliwej prawnej czy moralnej przeszłości – jest ordynacją złą, ordynacją-nieporozumieniem. Kto ponosi winę za uchwalenie przez poprzedni Sejm takiej właśnie ordynacji?

Polska, jako

europejski kraj peryferyjny,

nie należący do EWG i NATO, graniczący na wschodzie z państwami powstałymi w wyniku rozpadu imperium sowieckiego, jest nadal zagrożona. Zagrożenia dotyczą przede wszystkim suwerenności i niepodległości kraju. Ostatnie wypadki w Moskwie to potwierdziły. Co by się stało po zwycięstwie komunistów – przeciwników, demokracji? Jak zachowaliby

się byli komuniści w Polsce? Ludzie, którzy akurat zwyciężyli w wyborach?

Wydaje się, że niezwykle istotna, z punktu widzenia polskiej racji stanu, sprawa naszego udziału w NATO jest swego rodzaju testem. Na jej przykładzie widać, jak głęboko w świadomości wielu polityków polskich – także tych z obozu dawnej Solidarności – zapisana jest uległość wobec Rosji. Zabiegi o werbalną zgodę Moskwy w chwili, kiedy imperium przestało istnieć, świadczą, moim zdaniem, o głębokim upośledzeniu. Jest coś upokarzającego w takiej postawie polityków polskich: jawnie podających w wątpliwość naszą suwerenność. A czego można się spodziewać po ludziach, którzy tak niedawno ściśle współpracowali z „towarzyszami radzieckimi”.

Przed wyborami – jak wielu wyborców związanych kiedyś z opozycją demokratyczną i Solidarnością – zastanawiałem się, na kogo głosować. Byłem przekonany, że obecność w Sejmie ludzi, którzy opowiadali się za wyraźnym wskazaniem, kto „programowo niszczył tradycyjne wartości cywilizacji europejskiej” w Polsce przez 45 lat – jest konieczna. Jednakże stopniowo – im bliżej było wyborów – okazywało się, że politycy z ugrupowań „niepodległościowych” popełniają błąd za błędem.

Nie potrafili zjednoczyć się, przemawiali językiem oderwanym od rzeczywistości – ich retoryka trafiała w próżnię. Koncentrowali się jakby wyłącznie na krytyce ludzi i programu Unii Demokratycznej. Nie widzieli rzeczywistych zagrożeń.

Wybory nie są zabawą ani okazją do wyrażania tylko animozji lub zaspokajania własnych ambicji. Politycy, którzy ulegają iluzjom, są złymi politykami. Liczy się twarda rzeczywistość – przede wszystkim nastroje społeczne, takie, jakie akurat w danym momencie przeważają. Rozumieli to przeciwnicy obozu dawnej Solidarności. Mam wrażenie, że politycy SLD potrafili nawiązać kontakt ze „zwykłymi ludźmi”. Ich zachowanie było naturalne – nigdy chępliwe czy namaszczone. Wystrzegali się wszelkiej pustej retoryki i agresji. I byli zjednoczeni. Polityków Unii Demokratycznej obwiniałem wcześniej za różne błędy – przede wszystkim za to zatarcie granicy między zniewoleniem a wolnością, między PRL-em a wolną Polską. Mimo to głosowałem na kandydatów Unii Demokratycznej. Moje rozumowanie było proste: ludzie ci wywodzą się z tej samej tradycji dawnej opozycji demokratycznej, dawnej Solidarności – podobnie jak większość ugrupowań „niepodległościowych”. Powinno nas więcej łączyć niż dzielić. Jakiegokolwiek insynuacje, porównania tych ludzi do komunistów, uważałem zawsze za chybione i niepotrzebne.

Czy była zresztą alternatywa? Ktokolwiek nie brał pod uwagę 5 proc. proggu przewidzianego ordynacją, oddawał się iluzjom. Mogłem, oczywiście, rzucić głos obok urny – skutek byłby podobny, jak w przypadku głosowania na PC, KdR, NSZZ „Solidarność”, UPR, „Solidarność” RI i „Ojczyznę”.

Głosowałem więc po prostu na ludzi, z którymi kiedyś wspólnie i solidarnie przeciwstawialiśmy się komunistycznej dyktaturze, którzy mieli realną szansę znalezienia się w Sejmie. Nic więcej. Tak to pojmowałem. Myślę, że tak jak ja pojmowało to wielu.

Dziś w nowym Sejmie posłowie Unii Demokratycznej będą zapewne pełnić rolę posłów Koła „Znak”. Tylko tyle zostało z „naszej solidarności”. ©©

Tekst ukazał się w cyklu „Jak to się stało” o przyczynach dojścia do władzy postkomunistów w 1993 r.

Kazimierz Orłoś – pisarz, scenarzysta, dramaturg; w latach 70. objęty zakazem publikacji, działacz opozycji, w stanie wojennym redaktor w wydawnictwach podziemnych; autor wielu książek i słuchowisk radiowych.